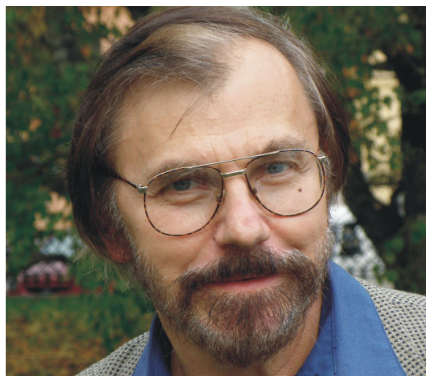


## Listy do Pani A. (58)



## Poezja i historia

Droga Pani!

Domyślałem się, że to Pani zamówiła dla mnie pogodę na wyjazd do Pilicy, o którym wspominałem w ostatnim liście. W tamtą stronę miałem dzień pochmurny, ale suchy, tylko w okolicach Częstochowy złapał mnie deszcz ze śniegiem, ale trwało to krótko. Z powrotem było pięknie, słonecznie, błękitnie, chociaż chwycił siarczysty mróz. Najważniejsze, że jezdnia była sucha, a w samochodzie ciepło.

Miałem jeszcze, w pierwszym dniu, pojechać przez Sosnowiec, aby odwiedzić kuzynkę, której nie widziałem ze czterdziści lat. Trochę mnie przerażał ten kurs, bo nie znam wszystkich rozjazdów, nie bardzo wiem, jak jechać, by trafić jak najbliżej jej domu. Zacząłem się denerwować, wręcz żalować, iż do niej zadzwoniłem z wiadomością, że będę tak niedaleko. Tymczasem w dzień przed wyjazdem zatelefonowała, że jest chora, nie chce żarzać, źle się poza tym czuje, ale się leczy. Bardzo się ucieszyłem. Wyrwało mi się: „to świetnie”, ale zaraz dodałem: „świetnie, że się leczysz”. W każdym razie kamień mi spadł z tego i owego. Pojechałem zatem bezpośrednio do Pilicy.

Były to obchody poświęcone – jak Pani wie – 150. rocznicy powstania styczniowego w powiecie zawierciańskim. Ciekawe sympozjum, dowiedziałem się wielu szczegółów, obejrzałem też następnego dnia rekonstrukcję jednej z potyczek.

A potem w Pilicy „Spotkania z historią”. W ramach tych spotkań miałem wieczór autorski. Przyszło około stu osób. Opowiadałem trochę o dziadku-powstańcu, o ojcu, o moich związkach z Pilicą i Zawierciem, gdzie mieszkałem do 1959 roku. Potem czytałem wiersze. Wybrałem te, które zawierały jakieś pilicko-zawierciańskie elementy, może nie dosłowne, ale jakoś nawiązujące do tamtejszej topografii, która stanowiła ich tło. Przeglądano mi się niczym żywemu eksponatowi. Okazało się, że moje nazwisko nie jest w Pilicy obce, ludzie pamiętają ojca, dom w rynku, który zresztą stoi w stanie niezmiennym do dziś. To było bardzo mile.

Zakwaterowano mnie w klasztorze reformatów. Może nie dosłownie w klasztorze, tylko w przylegającym doń gościnnym pawilonie. Trochę żalowałem, że nie w samej klauzurze, ale tu miałem święty spokój, gwardian dał mi klucze do drzwi i do bramy, tak więc mogłem poruszać się w sposób nieograniczony. Kupowałem sobie w „Biedronce” masłankę i słodkie bułki, a na obiady

chodziłem do baru, gdzie są bardzo dobre flaki. Zawsze tam zaglądam, kiedy jestem w Pilicy, a jestem co roku, kiedy wracam z Galicyjskiej Jesieni Literackiej.

Przez dwa dni byłem zapraszany na kolację przez p. Aleksandra Kota, historyka i regionalistę, miłośnika Pilicy, który to wszystko współorganizował. Poznałem jego przemilą żonę i teściów. Starsza pani jest rodowitą piliczką pamiętającą jeszcze moją babkę (zm. 1938) oraz ciotki, które mieszkały w naszym rodzinnym domu. Wspomnieniom nie było końca, zwłaszcza, że wspomagały nas znakomite nalewki z aronii, wiśni, porzeczki. Wspaniałe trunki, gęste niczym galaretki.

Tam, na głębokiej prowincji, odpocząłem trochę od atakujących uszy „newsów” politycznych, czyli wiadomości typu: „kto kogo, komu co ukradli”, od życia literackiego, od redaktorów, którzy nie rozumieją kalamburów, albo ze strachu udają, że nie rozumieją, co na przykład w wydaniu towarzyskiego spotkania poetów może znaczyć „konchlawe”. Nie wiedzą, że „Szczęście Frania”, to tytuł komedii Włodzimierza Perzyńskiego, a niekoniecznie kpina z papieża; od ideologii kościelnej, od nieudolnej i głupiej władzy, rocznic, ideologicznych klótni, świętych narodowych trupów – słowem od wszystkiego, co tak codziennie uwiera. Może już czas zaszyć się w jakimś azylu i odwrócić tyłem do całego świata?

Tymczasem ukazał się numer *POEZJIDzisiaj*, poświęcony mojej twórczości. Poprzedni, który wyszedł niedawno, prezentował twórczość Juliusza Erazma Bolka. No i promocja na Ochocie. To może jeszcze nie warto odchodzić na pustelnię? W każdym razie w dobie internetu i komórek trudno o pełną izolację. Łatwo więc być dziesięcioprocentowym „pustelnikiem”.

Na wspomnianej promocji trudno byłoby zostać pustelnikiem. Było sporo osób. Aleksander Nawrocki opowiadał o swoim piśmie, ja potem o początkach naszej znajomości, która zaczęła się czterdzieści siedem lat temu. To prawie dwa Pani dotychczasowe życia! Czytałem kilka wierszy sam, a jeszcze inne interpretowała poetka Anna Magdalena Mróz. Wiersze Julka Bolka czytał Maciej Rayzacher. Potem trwała dyskusja o literaturze, miejscu poezji, upływie czasu, naszych kolegach, którzy już odeszli. Przyszedł mój kolega z redakcji „Życia Codziennego”, Aleksander Bukowiecki, który wniósł wiele życia i anegdotycznych klimatów do tej naszej rozmowy. Czy Pani tam przypadkiem nie było? Jestem przekonany, że zwłaszcza w podobnych okolicznościach wyczuwam Pani obecność. Ale przecież to moje stałe wrażenie.

I zaraz Światowy Dzień Poezji. Pierwszy dzień, a właściwie wieczór – jak zwykle – w Klubie Księgarza. Występowali poeci zagraniczni. A potem inauguracja w Muzeum Literatury, prezentacja wierszy, program muzyczny. Wiersze czytali aktorzy z zakopiańskiego Teatru im. Witkacego. Imprezy na mieście, m.in. w Muzeum Niepodległości, gdzie „Tryptyk rzymski” Karola Wojtyły inscenizował aktor z Torunia – Dariusz Bereski. Świętny głos, znakomite warunki. Gdybym zwiadywał teatrami warszawskimi, jak niegdyś to robił nieodżałowanej pamięci zaborczy dyrektor teatrów warszawskich Siergiej Muchanow (ten od pani Kalergis i „Halki”), to zaangażowałbym Bereskiego do Teatru Narodowego. A teraz? Kto go zaangażuje? Może kultura polska doczeka się

znowu jakichś bardziej cywilizowanych zaborców, bo sami Polacy... Wystarczy popatrzeć dookoła.

W ramach ŚWP miałem jechać do Staszowa. Ale niemal w ostatniej chwili Aleksander Nawrocki odwołał mój wyjazd. Nie powiem, żebym się nie ucieszył. Pogoda była niepewna, a ja nie lubię trudnych warunków na szosie. Gdy trzeba, zawsze sobie poradzę, ale kiedy można, wołę tego uniknąć.

Te wszystkie poetyckie festiwale stwarzają namiastkę życia literackiego, które w obecnych czasach bardziej przypomina agonię. Nie mówię o ruchu na portalach internetowych, o niszowych pismach i pisemkach. Owszem, to wszystko ma znaczenie. Bez tego nie byłoby już nic. Ale to zbyt słaby nurt, by mówić o polskiej literaturze całociowo.

I chwala Andrzejowi Grabowskiemu za Galicyjską Jesień Literacką, Pawłowi Kuszczynskiemu za poznański Międzynarodowy Listopad Poetycki, Markowi Wawrzekiewiczowi za Warszawską Jesień Poezji, Aleksandrowi Nawrockiemu za dwa festiwale: Światowy Dzień Poezji oraz Festiwal Poezji Słowiańskiej. Słowem tym wszystkim, którzy organizują imprezy literackie, wydają czasopisma, piszą...

Wbrew pozorom jest dla kogo. Ostatnio prowadziłem wieczór autorski na Willowej. Bohaterem spotkania był Marek Wawrzekiewicz. Oczywiście, nie zebrało się tylu słuchaczy, ilu mogłoby wypełnić stadion, ale skoro było ponad dwadzieścia osób, to w naszej skali można już mówić o sukcesie. Przyszedł także Andrzej Tchórzewski, Andrzej Gnarowski z Grażną, Ania Andrych, poetka poznańska, która teraz przebywa w Warszawie. Marek, jak zwykle, opowiadał o wierszach ciekawie, ze swadą, bardzo dowcipnie. Potem czytał wiersze. Lubię poezję Marka, bo jest pełna dystansu, ironii, niesłychanie pomysłowa, precyzyjna w każdym szczególe. Całe spotkanie bardzo się podobało zebrany, a i Marek też był zadowolony. Tym razem czytał wiersze o miłości oraz dwa utwory z „Dwunastu listów”. Przeczytał też na zakończenie „Zagładę”, której ostatnie słowa brzmią tak: *I zadumają się chwilę nad wprawionym w cokół / Fragmentem muru, co przetrwał zagładę / Z inskrypcją zagadkową napisaną sprayem / i martwiącą ręką: CALUJTA MIE W DUPE // I wzniosł gromko okrzyk, okrzyk rytualny / Nieznanego autorstwa: NAWZAJEM! NAWZAJEM!* Kończąc spotkanie podziękowałem Markowi i publiczności, zaznaczając, że ostatnio przeczytany wiersz nie jest osobistą propozycją poety...

Bardziej smutnym czy raczej refleksyjnym spotkaniem był wieczór poświęcony pamięci Andrzeja K. Waśkiewicza. Okazuje się, że zaczynamy w pełni doceniać ludzi, dopiero kiedy odchodzą. I wtedy jest ich najbardziej brak.

Film zaprezentowany na spotkaniu był bardzo wzruszający. Przez chwilę było tak, jakby Andrzej był wśród nas, ale wiedzieliśmy, że go nie ma... A potem pocieszałem się winem w towarzystwie Mietka Machnickiego i Zbyszka Milewskiego. I myślałem o Pani, czy jest tutaj, czy podziela nasze wzruszenia. Tak się składa, a jest to dosyć irracjonalne, że widzę Panią wszędzie, nawet tam, gdzie może jej nie ma.

Serdecznie pozdrawiam Panią, a może tylko swoją własną wizję –

STEFAN JURKOWSKI